

W kraju palm i słońca – 1

20 października 2022

Reportaż Artura Gruszeckiego z roku 1890 z emigracji Polaków do Brazylii. Pisownia oryginalna z tamtej epoki.

Emigranci

W Bremie, na dworcu kolei żelaznej, wielkim, obszernym, pokrytym dachem szklanym, przepuszczającym mdłe światło, ścisk, gwar, hałas, jęklive wołania podróżnych z czwartej klasy, ostre, rozkazujące głosy żandarmów w połyskujących hełmach i gorączkowa bieganina służby kolejowej.

To nadejście pociągu z emigrantami do Ameryki.

Ruchem ręki, głosem nieznoszącym sprzeciwiania się wskazuje emigrantom służba kolejowa i żandarmi schody przeznaczone do wyjścia.

Z wielkimi tobołami, z kuferkami jaskrawymi, z rzeczami owiniętymi w brudne płachty suną emigranci.

Już w Ruheleben, stacji za Berlinem, gdzie koleje, gromadząc wszystkich emigrantów, poddają dezynfekcji ich i ich rzeczy, sadowią się emigranci w wagonach podług ojczystych okolic i kupą trzymają się też w Bremie. Idą z niemiecka ubrani Ślązacy, prawie wszyscy młodzi, dzielni, zdrowi, wszyscy do Stanów Zjednoczonych; pomiędzy nimi trochę kobiet w spódnicach krótkich, jaskrawych, suto fałdowanych. Następnie postępują ociężałe Niemcy znad Wołgi, z Besarabii, z guberni charkowskiej, w charakterystycznych rosyjskich strojach, a choć mówią po niemiecku, nazywają siebie: „die Russen” – ta partia jedzie do Argentyny. Patrząc podejrzliwie na wszystkie strony, ostrożnie stąpają Słowacy w strojach narodowych; potem garść Żydów z Cesarstwa, z licznym, wrzaskliwym potomstwem; wreszcie z ociąganiem, trwogą i niepokojem postępują chłopci z

Galicji i Królestwa.

Co chwila z tłumu wrywa się nawoływanie matki, zrzedzący głos ojca, płacz dziecka; a wszyscy zmęczeni, niewyspani, brudni, z wypiekami na twarzy, z błyszczącymi gorączkowo oczyma, wypatrują upragnionej Bremy.

W sali IV klasy szeregują i liczą rodziny emigrantów, i bez pytania, objaśnienia, często wbrew woli, narzuca się emigrantom hotel, do którego muszą zajechać, opłacając życie i mieszkanie. Lwią część emigrantów zabiera pan Missler, jeden z dzisiejszych potentatów bremeńskich, agent Towarzystwa „Norddeutscher Lloyd”, posiadający wyłączny przywilej bałamucenia, ściągania i wyzyskiwania emigrantów z Austrii, Węgier i Rosji.

– Nasze pakunki!

– Nasze kufry! – wołają emigranci.

– Znajdą się w porządku! – odpowiada łamaną polszczyzną wysłannik p. Misslera i wspomagany przez żandarmów wyprowadza część swego łupu na plac przed dworcem.

Dzień chmurny, dżdżysty, późnej jesieni, wilgoć przenika wszystko, osiada na zmiętych ubraniach, na zrudziałych butach, dzwoni w rynnach dachów, rozlewa się w kałużach po bruku. Na placu nowy podział emigrantów: porządniej ubranych przeznaczają do hotelów położonych w mieście, uboższych do hotelu zwanego „Warszawa”. Na wozy wrzucają kufry, emigranci idą pieszo.

Dziwnie i smutno odbijają ci ludzie na tle bremeńskich ulic, czystych, ładnych, i kamienic z lustrzanymi szybami, z białymi firankami, z kwiatami w oknach. Idą z tłumokami, tobołami, brudni, pomięci, jaskrawo ubrani, nagleni przez przewodnika. Bremeńczycy, jakkolwiek przyzwyczajeni, przystają, patrzą jak na dziwowisko i wydymając usta wzgardliwie, szepcą:

– Emigranten!... Polen!...

Nareszcie docierają do hotelów. Są to domy wysokie, w których każde miejsce jest zużytkowane, byle przynosiło dochód właścicielowi, bez względu na niebezpieczeństwo i jaką taką wygodę podróżnych. Począwszy od poddasza zaczynają się dość obszerne sale, przepełnione łózkami, jak to bywa w czasie katastrofy; są to pokoje noclegowe, osobne dla mężczyzn, osobne dla kobiet. Na pierwszym piętrze sala jadalna, zarazem poczekalnia, kancelaria i szynk. Jeszcze gorszy tłok, brud i niewygodą w hotelu zwanym dla wabika „Warszawą”.

Za tego rodzaju umieszczenie i lichą żywność płaci jednostka po dwie marki (1 rubel) dziennie. Łatwo obliczyć, ile traci rodzina, np. z pięciu osób złożona, gdy musi czekać dni kilka na odejście statku, a już w tym głowa agentów p. Misslera, by przyspieszyć wyjazd emigrantów z kraju w niezawodne objęcia patrona.

Wokoło hotelów emigranckich snują się poczcivcy, ułatwiający emigrantom nabycie „amerykańskich” kapeluszy... butów... ubrań... i innych rzeczy, bez których nie przyjmą w Ameryce, kto wie czy nawet na okręt. Wreszcie zamerykanizowani emigranci idą do biura p. Misslera, by wymienić prowizoryczne karty okrętowe, dowiedzieć się bliższych szczegółów o okręcie, zmienić swoją gotówkę na amerykańskie pieniądze, pan Missler bowiem stara się o wszechstronną wygodę swych ofiar w hotelach i biurach, zajmujących cały parter własnego domu, w których pracuje sztab przeróżnych urzędników.

Emigranci wchodzą do obszernej sali, a tuż za barierą zjawiają się urzędnicy, mówiący po polsku i małorusku, i z miną dobroduszych poczcivców zadają pytania emigrantom:

– A skąd wy?... Czy nikt nie wybiera się do Ameryki z tej wsi lub okolicy?... A jak mu na imię? A poczta? Wójt jak się nazywa?... – i wszystko przy dalszym stoliku notuje inny skwapliwie, bo takie adresy to grosz gotowy dla agenta: już

jego biuro wyśle czułe listy o Ameryce, o rajskiej tam szczęśliwości, o nadzwyczajnych wygodach podróży, gdzie do woli rozdają wino do wspaniałych obiadów, mleko świeże trzy razy dziennie roznosi dzieciom służąca, doktor jest na zawołanie, służba czeka skinienia emigrujących.

Jednak należy być sprawiedliwym: to samo robią i inni agenci „Lloydu Bremeńskiego”... gdyż handel musi iść; a że chłopci są ciemni, głupi, wierzą cudacznym listom i łatwo dają się oszukiwać, czyż to wina agentów?

W obszernej, niskiej brudnej sali hotelu „Warszawa” – tłok, gwar; pozytywa wielka wygrywa piskliwie różne melodie, w rogu za ladą bufetową rzędy ponętnych butelek, beczki piwa i niewyszukane przekąski. W jednym rogu, unikając drwin, skupili się Żydzi, płacący tylko za nocleg po 60 fenigów od osoby; w drugim tłoczą się chłopki z dziećmi na rękę, przy spódnicy, fartuszkę, siedzą a wzdychają, uspokajając maleństwa.

W środku wielkiej tej izby gwarno, wesoło; co chwila idą gromadką do bufetu i żądają wódki, piwa – wszyscy uradowani, weseli; na ustach tylko Ameryka, złoto, bogactwo, życie bez troski, mnóstwo pieniędzy i dostatków!

– Macie, matko, kłopot z dziećmi...

Spojrzała trochę zdziwiona, zmęczonymi, niebieskimi oczyma, poprawiła jaskrawą chustkę i uspokoiwszy czworo drobnych dzieci, odpowiada:

– Ano, zachciało się memu, to i co robić?... Dzieci nie zostawię, jakoś dojedziemy...

– I kto was namówił do wyjazdu?

– A któż by? Nikt, ot przyszło pismo do wsi, trafiła się książka... a u nas źle, Żyd gniecie, pan nie pomoże, bo sam ma niewiele, to i wybraliśmy się.

– Dokądże jedziecie?

– A gdzieżby? Do Ameryki.

– Do której? Północnej czy do Brazylii?

– Alboż ja wiem? Agent dał bilet; może mój wie, ja nie wiem.

W przeważającej liczbie chłop, zwłaszcza z Galicji Wschodniej, nie wie, dokąd jedzie i powtarza uporczywie: do Ameryki. Miałem w ręku list pisany z Argentyny, kolonia Missionas, w którym po zwyczajowym początku pisze kolonista, że: „Chwała Bogu, tu w Kanadzie jest nieźle, jeść jest co, tylko o pieniądze trudno...”, a kończy podaniem adresu: „Ameryka, Kanada, kolonia Missionas”.

– Co pan tam będzie gadał z babami! – woła niski, przysadkowaty Mazur. – Chodź pan do nas!

– Pan też do Ameryki?... Za chlebem?... Panu to ta ciężko będzie, bo tam chcą ino chłopów; tam nie ma pana ani Żyda, ani podatków, tam kończy się wasze panowanie...

Głośny śmiech zadowolenia, radości i złotej nadziei rozlega się wśród podnieconych emigrantów.

– Na pohybel panom i Żydom! – woła chłop, wznosząc w górę kieliszek wódki.

– Cichajta! – miarkuje go Mazur. – Toż i ten pan jedzie za chlebem, bo mu tu ciężko.

Jaki taki wzdycha i podnosi się gwar skarg na biedę, nędzę, złą dolę. Urojone i prawdziwe krzywdy płyną falą skargi i żalu. Na tęsknotę do kraju, którego macosze traktowanie mają żywo w pamięci, jeszcze za wcześniej; przeciwnie, radość i rozzulenie wzmagają się podniecane kieliszkiem.

Z tłumu wysunął się emigrant w spencerze i biorąc kufel piwa, zawołał gromko:

– Zaś hoch Ameryka! Wiwat! – i przy dźwiękach katarynki sunąc

do bufetu, krzyknięto radośnie:

– Wiwat Ameryka!!!

Ciąg dalszy nastąpi

Autorstwo: Artur Gruszecki

Źródło drukowane: „W kraju palm i słońca. Wrażenia z podróży”,
Księgarnia Wydawnicza J. Czerneckiego w Wieliczce, Kraków

Źródło internetowe: WolneLektury.pl

Licencja: [CC BY-SA 4.0](https://creativecommons.org/licenses/by-sa/4.0/)